

JAKUB KOŁACZ SJ

Po kostki w wodzie

Siedem katechez o wierze uczniów Jezusa

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2016

Opieka redakcyjna: Bartłomiej Sury

Redakcja: Zofia Smęda

Korekta: Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Agnieszka Kucharz-Gulis

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-1133-5

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

e.wydawnictwowam.pl

Druk: Drukarnia Dzielowa Katarzyna • Wrocław

Wstęp

Był rok 1521. Trzydziestoletni Iñigo López de Loyola, cudem uniknąwszy śmierci, powoli wracał do zdrowia w rodzinnych dobrach w Kraju Basków. Parę miesięcy wcześniej, podczas obrony twierdzy w Pampelunie, kula armatnia – Bogu niech będą dzięki – strzaskała mu nogi. Napisałem: „Bogu dzięki” nie dlatego, żebym chciał potwierdzić przekonanie, że „Pan Bóg kule nosi”, także kule armatnie, ale dlatego, że gdyby nie ten tragiczny wypadek, nie wiadomo, jak wyglądałoby życie Iñiga – a trzeba przyznać, że było ono dalekie od monotonii, choć nie do końca godne naśladowania. Podczas rekonwalescencji, przynajmniej w pierwszej fazie, jak każdy chory, myślał przede wszystkim o możliwie szybkim powrocie do życia, które wcześniej prowadził – i jak każdy poważnie chory człowiek, łudził się, że będzie to możliwe.

Jako kilkunastoletni chłopiec Iñigo został oddany na dwór jednego z hiszpańskich magnatów, gdzie miał pobierać nauki i nabrać nieco światowej ogłady. Był dość pojętym uczniem. Szybko zrozumiał, jak należy się zachowywać na salonach, ale też przyswoił sobie wszystkie negatywne cechy życia dworskiego. Po latach mówił,

że był to czas spędzony „w służbie marności światowych”, a służba ta, choć bywała barwna, z czasem jednak mu się znudziła. Po dramatycznej obronie Pampeluny wszystko tak się pokomplikowało, że powrót na dwór wcale nie był taki łatwy. Iñigo, na którym leczący go specjaliści dokonali paru prawdziwych przestępstw medycznych (wybaczamy im brak wiedzy i praktycznych umiejętności), od tej pory poważnie utykał. Jako niesprawny fizycznie nie nadawał się ani na rycerza, choć już nieraz zasłynął z odwagi, ani tym bardziej na amanta – choć i tu nie brakowało mu doświadczenia. Sytuacja ta wymusiła na nim konieczność ukształtowania nowej tożsamości. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że był to długi proces, bo powrót do zdrowia i odzyskanie równowagi psychicznej nie jest takie proste, jak to wydaje się pisarzom. Ogólnie jednak Iñigo – który później przyjął imię Ignacy – myśląc o swojej przyszłości, zaczął szukać nowych wzorców postępowania. Znalazł je niejako przypadkiem. Nuda wiejskiego życia, monotonia rekonwalescencji oraz brak miłosno-romantycznej literatury zmusiły go do sięgnięcia po książki pobożne; jedyne, jakie znajdowały się na zamku w Loyoli. Niewiele czasu potrzeba było, aby wciąż młody i ambitny Iñigo zaczął utożsamiać się z bohaterami, których życiorysy zgłębiał. „A może by tak dokonać tego samego, co św. Dominik? A może podążać śladem św. Franciszka?” – myślał.

Trudno zaprzeczyć, że powodowały nim wzniosłe pragnienia, ale prawdą jest i to, że na tym pierwszym etapie swego nawrócenia traktował owych świętych jak

bohaterów z romansów, którzy w obronie honoru własnego i swoich wybranek nie wahali się stawać oko w oko z wrogimi wojskami i ziejącymi ogniem smokami. Innymi słowy, pomimo otwarcia na nowe wartości, Iñigo wciąż pozostawał dużym chłopcem, romantykiem, który przede wszystkim chciał zwrócić na siebie uwagę i zdobyć sławę. Wiele musiało się wydarzyć w jego życiu, zanim zrozumiał, że nawet najlepszy wzorzec jest tylko przykładem, inspiracją, a romantyczność jedynie dodaje skrzydeł. Każdy bowiem sam musi sobie wypracować własny model życia w służbie królestwa, w tym także królestwa niebieskiego.

Choć często mówimy o nawróceniu jako czymś w rodzaju powtórnych narodzin, to w rzeczywistości jest ono niczym innym, jak niepowtarzalną okazją do zmiany sposobu myślenia (i niczym więcej). Kiedy jednak taka okazja się przydarzy, należy dobrze się sobie przyjrzeć i zacząć się zastanawiać, jak wszystko to, co dobre człowiek w sobie nosi, może zostać użyte w sposób właściwy; nie dla własnej chwały, ale dla wspólnego dobra.

Kiedy czytamy życiorysy świętych, otrzymujemy gotowy materiał oraz przykład świętości; tak samo było w przypadku Iñiga, kiedy czytał o św. Franciszku i Dominiku. Rzadko jednak uświadamiamy sobie, że za tą doskonałością kryje się ogromny wysiłek i walka, dobre intencje i rozczarowanie, zniechęcenie i nadzieja, a w końcu czas, jaki był potrzebny, aby każdy z nich stał się prawdziwym uczniem Chrystusa. Życie Ignacego Loyoli jest doskonałym przykładem duchowej drogi, jaką każdy musi

osobiście pokonać. Trzeba wyjść od pytania o pierwotne fascynacje, którym nieraz z pasją służymy, a następnie wykorzystać moc łaski przemiany, by w końcu zrozumieć, że tu nie chodzi o zbudowanie własnego imperium, ale o zaangażowanie się w służbę królestwa Bożego.

W książce tej postaram się ukazać duchową drogę, jaką musieli przejść ci, którzy byli najbardziej uprzywilejowani pośród wszystkich ludzi na ziemi – uczniowie Chrystusa. Mieli wielkie serca, lecz nie brakowało im lęków. Porzucili wszystko, aby iść za Jezusem, ale nie była im obca ludzka interesowność. Do końca liczyli zyski i straty, wielu rzeczy nie rozumieli, ale bali się uchodzić za prostaczków, więc nie zadawali pytań. Każda z powyższych cech teoretycznie dyskwalifikowała apostołów, którzy mieli wziąć w swoje ręce odpowiedzialność za dalsze losy Ewangelii. Jezus jednak dostrzegł w nich olbrzymi potencjał; stali się fundamentem Kościoła.

Rozważania te są moją osobistą interpretacją tego, co na temat wiary uczniów przekazują nam Ewangelie. Książkę tę pisałem nieprzyzwoicie długo. Pewna jej część powstała jeszcze w czasie, gdy mieszkałem w wioskach w regionie Ifugao oraz Mountain Province na wyspie Luzon na Filipinach. Reszta już wtedy, gdy wspominałem tamte stare, dobre czasy. Zaledwie paromiesięczny pobyt wśród ubogich i ciężko pracujących plantatorów ryżu nauczył mnie znacznie więcej niż inne doświadczenia mojego życia.

Echa tych przeżyć niejednokrotnie rozbrzmiewają w moich rozważaniach. Niekiedy w tekst wplątam prawdziwe historie i opisuję to, czego doświadczyłem pośród tamtejszej ludności. Nie robię tego, aby się pochwalić, w ilu egzotycznych miejscach dane mi było się znaleźć. Czuję, że kontakt z tamtymi ludźmi był powodem mojej przemiany; zostałem ubogacony. Szczycę się tym, ponieważ wiem, że jednym z największych wyróżnień, jakie może spotkać człowieka, jest możliwość służenia tym, którzy nas naprawdę potrzebują. To dlatego we wszystkich Kościołach wciąż podziwiamy dobroć serca miłosiernego Samarytanina, który jest dla nas przykładem prawdziwej miłości bliźniego, mimo że tak naprawdę nie wiemy nawet, czy był człowiekiem wierzącym.

Kroczący po falach

Pomijając miłość z wyrachowania, która właściwie nie jest żadną miłością, uważam, że istnieją dwie drogi prowadzące do zakochania. Pierwsza z nich to tak zwana miłość od pierwszego wejrzenia: widzimy kogoś po raz pierwszy w życiu i natychmiast wiemy, że to spotkanie stało się punktem zwrotnym. Poznana osoba jest dla nas ważniejsza niż wszyscy inni – jak to możliwe, nie wiadomo, ale właśnie wtedy nagle tracimy głowę i już po nas... Druga droga wiąże się z przyzwyczajeniem: dobrze znamy daną osobę, wiele o niej wiemy, widujemy się i może nawet nieraz rozmawiamy, ale nigdy nie pomyślelibyśmy, że ta relacja w jakikolwiek sposób różni się od wielu innych, których być może wcale nam nie brakuje. Pod wpływem pewnego impulsu, który może być czymś istotnym, jak na przykład realna pomoc w potrzebie, albo czymś zupełnie prozaicznym, jak nie do końca udany wieczór z przyjaciółmi, kiedy tego kogoś na nim zabrakło – właśnie pod wpływem takiego impulsu uświadamiamy sobie, że osoba ta zajmuje niezwykle istotne miejsce w naszym życiu. Wtedy zaczyna się prawdziwa miłość. W tym przypadku uczucie jest może niezbyt szalone, ale za to głębokie.

Te same reguły, po nieznacznym zmodyfikowaniu, można zastosować także do prawdziwej przyjaźni.

Trudno się zdecydować, od czego rozpocząć opowiadanie o spotkaniu Jezusa z apostołami. Z punktu widzenia chronologii wydarzeń i parafrazując słowa z Ewangelii św. Jana: „Na początku było Słowo” (J 1, 1), należałoby pewnie wskazać na słowo powołania i zacząć od momentu podjęcia przez nich decyzji o pozostawieniu wszystkiego i pójściu za Jezusem. Ważniejsze od chronologii zdarzeń jest jednak zastanowienie się nad tym, co tak naprawdę ich połączyło, czyli kiedy zaczęła się ich prawdziwa przyjaźń? Jest to zatem pytanie nie o czas, ale o duchową więź, jaka zawiązała się między człowiekiem a Bogiem. Co więcej, w przypadku uczniów była ona dość specyficzna. Wydała się podobna do przyjaźni między dwojgiem ludzi, stanowiła duchowy związek między uczniem a Jezusem, ponieważ apostołowie dopiero po jakimś czasie uznali, że ten człowiek, którego dotykali, z którym jedli i pili, jest posłanym przez Boga Synem i Zbawcą. Pytanie, jakie musimy sobie zadać na początek, nie może prowadzić wyłącznie do wskazania motywów, dla których uczniowie zdecydowali się przyłączyć do Jezusa, ale powinno się stać inspiracją do zrozumienia tego, co dało im siłę, aby przetrwać tak wiele trudnych chwil, a w końcu pozwoliło zebrać się na nowo po męce i zmartwychwstaniu Jezusa.

Z tego też względu nie rozpoczynamy rozważań od tradycyjnego zdania: „Pewnego razu Jezus przechodził obok

Morza Galilejskiego...”, ale – zostawiając te wydarzenia na później – wyruszamy razem z uczniami na jezioro.

Tego dnia Jezus się spieszył. Wydawać by się mogło, że był to pośpiech trochę nieuzasadniony, ale to nie jest istotna informacja. Wszystko zaczęło się, jak można przypuszczać, najwyżej dzień lub dwa dni wcześniej, gdy doniesiono Mu o dramatycznych wydarzeniach, jakie dopiero co rozegrały się na dworze Heroda, podczas hucznego przyjęcia z okazji jego urodzin – wtedy to król wydał rozkaz, aby zamordowano Jana Chrzciciela. Wyrok natychmiast wykonano (por. Mt 14, 10–11).

Jezus był do głębi poruszony tym faktem, może nawet rozżalony, bo jak wiemy, nie wstydził się płakać przy grobie przyjaciela (por. J 11, 35). Mając jeszcze w pamięci słowa Jana: „Trzeba, aby On wzrastał, ja natomiast abym się umniejszał” (J 3, 30), i zdając sobie sprawę, że umarł ten, który przepowiadał Jego przyjście, w obliczu tragedii, jaka się dokonała, Jezus postanowił udać się na modlitwę. Swoim zwyczajem zamierzał więc oddalić się na pustynię. Razem z uczniami wsiadł do łodzi i przepłynął się na drugą stronę jeziora Genezaret. Zrobił to, aby oddalić się od tłumów, które po prostu przeszkadzały Mu w modlitwie. Zamiar Jezusa nie uszedł jednak uwadze ludzi, którzy w tym czasie dosłownie za Nim przepadali. Jak to możliwe, nie wiadomo (bo Jezus wybrał najkrótszą drogę w poprzek jeziora), ale kiedy dopłynął do brzegu, zastał tam kilkutysięczny tłum, czekający już na Jego

przybycie. Z litości nad nim zmienił więc plany, uzdrowił chorych, a potem nauczał. Kiedy nadszedł wieczór, sprawił wszystkim dodatkowy prezent, bo nakarmił ich cudownie rozmnożonym chlebem. Co istotne – choć fakt ten często umyka naszej uwadze – nie zrezygnował jednak z modlitwy: wieczorem odprawił tłum, wcześniej wysyłając uczniów na drugi brzeg i obiecując im, że później do nich dołączy. Ze względu na późną porę i cały ten pośpiech apostołowie nawet Go nie zapytali, jak zamierza dotrzeć na miejsce. Z pewnością przypuszczali, że pokona tę odległość, idąc pieszo wokół jeziora. On zaś wcale się nie spieszył, gdyż tak jak zaplanował, znaczną część nocy spędził na modlitwie.

→ Dygresja na temat modlitwy

Wiele dałbym, aby być razem z Jezusem podczas tej modlitwy i zobaczyć Go duchowo złączonego z Ojcem. Wiele dałbym, aby przynajmniej na moment wniknąć w atmosferę tej niezwykle miłości. Bardzo chciałbym zachować na trudne chwile choćby nikłe jej wspomnienie. Ewangelie często wspominają, że Jezus wymykał się samotnie, „gdy jeszcze było ciemno”, ale są niezwykle oszczędne w podawaniu szczegółów dotyczących Jego duchowego skupienia. Jest tak być może dlatego, że Jezus modlił się bez świadków. Apostołowie nie wykorzystali nawet tej jedynej okazji, aby być razem z Mistrzem w tak niezwyklej chwili,

jaka nadarzyła się, gdy Jezus zaprosił ich do wspólnego czuwania w ogrodzie Oliwnym w noc aresztowania. Kiedy Chrystus w słynnym Kazaniu na górze mówił, abyśmy – gdy chcemy się modlić – weszli do swej izdebki, zamknęli drzwi na klucz i modlili się do Ojca, który jest w ukryciu (por. Mt 6, 6), przekazał nam nie tylko naukę, ale także część własnego doświadczenia. Może więc, chcąc pojąć, co działo się wówczas w Jego sercu, warto poświęcić nieco uwagi tematowi „małej izdebki”? Wyobrażając sobie Jezusa podczas rozmowy z Ojcem, niejako intuicyjnie wyczuwamy, że musiała ona przybrać formę „szepanego dialogu”, a może jeszcze bardziej milczącego trwania w obecności Tego, który nas wszystkich stworzył. Apostołowie wniknęli w atmosferę tej obecności na Górze Przemienienia, kiedy pomimo trwogi, jaką odczuwali, stwierdzili: „Dobrze nam z Tobą. Zostańmy tu dłużej” (por. Mt 17, 4). W medytacji oblicza Ojca przeszkodził im lęk, gdy usłyszeli głos z obłoku. Wydaje się więc, że jeśli mamy poświęcić czas na modlitwę, to nie może być tu mowy o jakimkolwiek lęku przed Bogiem. Jeśli boimy się tego, co być może nas czeka, w Bogu znajdujemy umocnienie. Jeśli cieszymy się tym, czego doświadczyliśmy, z Bogiem dzielimy tę radość. Jeśli stajemy wobec konkretnego problemu, u Boga szukamy odpowiedzi na nurtujące nas pytania. Kiedy pojawi się w nas jakiś lęk, nie usiłujemy go pokonać własnymi siłami, bez Boga. Modlitwa wymaga pełnej

i bezwarunkowej otwartości na obecność i działanie Ojca, Syna oraz Ducha. To właśnie wtedy jasno widzimy, że musimy stać się jak dzieci Boże albo jak sam Syn Boży; dla ludzi – Zbawiciel, ale wobec Ojca – dziecko. Wydaje się to takie proste, ale na usta ciśnie się pytanie, jakie zadał Jezusowi Nikodem: „Jakże może stać się dzieckiem ktoś, kto jest już dorosłym mężczyzną?” (por. J 3, 4).

Zamiast uczestniczenia w tajemniczym połączeniu Ojca z Synem pozostaje nam dziś tylko udział w doświadczeniu apostołów: z jednej strony pragnienie przedłużenia tych chwil, kiedy czujemy, że Bóg naprawdę nas kocha, a z drugiej wstyd, że zaspaliśmy, a w tym czasie – bez naszego udziału – dokonało się coś bardzo ważnego.

„O czwartej straży nocnej” (Mt 14, 25), czyli według naszej rachuby między godziną trzecią a szóstą, zmęczeni wiosłowaniem i walką z przeciwnym wiatrem, uczniowie zobaczyli kroczącego po falach człowieka, który zmierzał w ich kierunku. Opis tego wydarzenia możemy przeczytać w dwóch innych Ewangeliach. U Marka (6, 45–52) jest on trochę niejasny, bo z jednej strony ewangelista sugeruje, że Jezus wprawdzie postanowił dołączyć do uczniów, widząc ich zmagających się z wiatrem i falami, ale kiedy pojawił się przy łodzi, wydawało się, że chciał ich wyminać i iść dalej. Pewnie niejeden kaznodzieja byłby gotów zinterpretować ten szczegół jako wezwanie do modlitwy

w godzinie próby. Nie wydaje się jednak, żeby właśnie taki był sens tego wydarzenia. Gdyby Bóg miał się tak zachowywać wobec nieszczęścia człowieka, to idąc krok dalej w naszych rozmyślaniach, łatwo moglibyśmy sobie wyobrazić Dobrego Pasterza, który udaje, że nie widzi zagubionej owcy zaplątanej w chaszczach, i mówi: „Masz, głupia, to, czego chciałaś!” (por. Łk 15, 1–7). Starając się zrozumieć, co tamtej nocy dokonało się na środku jeziora, musimy pamiętać, że ten dzień był dla uczniów rzeczywiście wyjątkowo męczący i pełen wrażeń. Byli przecież nie tylko świadkami cudu, ale mieli też okazję bezpośrednio w nim uczestniczyć: najpierw tysiącom ludzi rozdawali chleb, który nie wiadomo skąd się wziął, a następnie zebrali pełne kosze ułomków. Ewangelista pisze: „ich umysł był oziębiały”, można więc przypuszczać, że byli zmęczeni z nadmiaru wrażeń, a do tego doszła ta niezwykle sytuacja na jeziorze.

Opis Jana (6, 16–21), jak to często bywa w przypadku czwartego ewangelisty, jeszcze bardziej podkreśla cudowny charakter tego wydarzenia. Na koniec opisu dołącza on bowiem informację, że łódź w nadzwyczajny sposób znalazła się przy drugim brzegu. Porównuje tym samym wysiłek człowieka zmagającego się z falami z mocą słowa Jezusa. Czyni to właściwie tylko po to, aby pośrednio dojść do wniosku, że tych dwóch rzeczy porównać się nie da.

W wersji Mateusza (14, 22–33), której będziemy się tu trzymać, opis tego wydarzenia jest nieco bogatszy. Dochodzi do niego bowiem opowiadanie o próbie wiary

Piotra. Jak nigdy wcześniej – i jak pewnie nieczęsto także potem, nawet biorąc pod uwagę jego wyznanie pod Ceza-
reą Filipową (do czego jeszcze dojdziemy) – Piotr całko-
wicie zaufał Jezusowi. Zalękniony, że oto zobaczył zjawę,
spontanicznie, jak to miał w zwyczaju, pokazał, że jego
wiara jest tak mocna, że sięga nawet tego, co niemożliwe:
chodzenia po wodzie.

Patrząc na to wydarzenie chłodnym okiem i porównu-
jąc je na przykład z wielokrotnie powtarzanymi prośbami
faryzeuszy, którzy domagali się znaku na potwierdzenie
posłannictwa Jezusa, wydaje się, że prośba Piotra była
daleko bardziej zuchwała. Na jej spełnieniu nikt specjalnie
nie zyskał, nie dokonało się żadne uzdrowienie, nikt nie
został pocieszony ani podtrzymany na duchu. Cud ten był
niejako zbyt cennym prezentem dla uczniów, którzy – choć
pod wieloma względami byli jak nikt inny uprzywilejo-
wani – w kwestiach wiary zmagali się z tymi samymi pro-
blemami co wszyscy inni, którzy zadawali sobie pytanie
podobnie jak Jan Chrzciciel: „Czy Ty jesteś tym, którego
się spodziewamy, czy może powinniśmy czekać na kogoś
innego?” (por. Mt 11, 3). Co prawda Jana nie możemy
stawiać w tej samej linii co innych, ponieważ on uwierzył,
a pozostali, przeciwnie – niezależnie od dokonywanych
cudów wciąż powtarzali to samo pytanie i domagali się
nowych znaków. Czegóż jednak można się było spodzie-
wać? Wiara, zwłaszcza w wymiarze, który przekraczał
ramy tego, co tradycyjne, nie przychodziła uczniom łatwo.
Wielu z tych, którzy byli blisko Jezusa, zwykle nie wierzyło

Jego pierwszemu słowu. Wyjątkiem jest tu właściwie tylko Maria Magdalena. Kiedy zapłakana stała przed pustym grobem Mistrza, a On zwrócił się do niej po imieniu, rozpoznała Go i nie prosiła już o żaden inny znak (por. J 20, 16). Apostołowie, gdy Zmartwychwstały pojawił się w Wieczerniku, słysząc pozdrowienie: „Pokój wam”, wciąż pozostawali jakby sparaliżowani (por. Łk 24, 36). Podobnie było na jeziorze. Jak czytamy u Mateusza, Jezus, widząc ich przerażenie, a zwłaszcza słysząc krzyk trwogi, przemówił do nich: „Uspokójcie się! Ja jestem. Nie bójcie się!” (Mt 14, 27). Piotr, zamiast posłuchać tego zapewnienia, zażądał kolejnego znaku, który byłby potwierdzeniem pierwszego cudu, czyli faktu, że Jezus szedł po wodzie. Powiedział: „Jeśli to prawda, pozwól mi przyjść do siebie po wodzie” (por. Mt 14, 28).

Jak wspomnieliśmy, ze strony Piotra było to niemal igranie ze śmiercią. W tej perspektywie jego prośba niewiele różniła się od typowych roszczeń faryzeuszy i uczonych w Piśmie, a nawet niezbyt odbiegała od słynnego żądania szatana: „Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się w dół. Napisano bowiem: Swoim aniołom wyda polecenie o Tobie. Na rękach będą Cię nosić, abyś nie uraził o kamień swej nogi” (Mt 4, 6). Jezus w tym przypadku pozwolił wystawić się na próbę. Istotnie, Piotr miał na celu coś zupełnie innego niż faryzeusze oraz diabeł. Szatan nie prosił o znak, który miałby umocnić jego wiarę, ale raczej chciał podporządkować sobie Jezusa, a w konsekwencji wystawić Go na pośmiewisko. Piotr, przeciwnie, pragnął wierzyć,

a właściwie chciał rozwiązać resztkę wątpliwości, aby ostatecznie poczuć się bezpiecznie w ramionach Mistrza. Gdybyśmy dokładnie przeanalizowali ducha tej prośby, doszlibyśmy do wniosku, że jest ona raczej podobna do desperackiego wołania ojca chłopca opętanego przez niemego ducha: „Wierzę! Uzdrów mnie z mojej niewiary!” (Mk 9, 24). Wypowiedziane przez niego słowa można zinterpretować jako: „Wierzę, ale za słabo. Wierzę w Ciebie i wiem, że tylko Ty możesz mi pomóc. Wierzę, ale bez potwierdzenia z Twojej strony moja wiara nic nie znaczy”.

Z całej tej sytuacji da się wyciągnąć jeszcze jeden wniosek, który może się wydawać nieco przesadzony: oczywiście jest, że uczniowie bali się śmierci. Choć jak wszyscy zdawali sobie sprawę, że kiedyś będzie musiała ona nastąpić, to jednak mieli nadzieję, że jeszcze nie teraz. Nie chcieli umierać, chcieli żyć. Dowody na to możemy znaleźć w wielu innych miejscach Ewangelii: Piotr ostro skrytykował Jezusa (na szczęście w cztery oczy), kiedy Ten zapowiedział, że w Jerozolimie zostanie osądzony i skazany (por. Mk 8, 32). W godzinie faktycznej próby, ze strachu, że będą zmuszeni podzielić los Jezusa, wszyscy uczniowie Go opuścili. Piotr, upominając Mistrza zapowiadającego swoje odejście: „Na pewno Ci się to nie przydarzy” (por. Mt 16, 22), tak naprawdę obawiał się o swój los. Trudno się zresztą dziwić, że ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewali, odpowiadając na powołanie, była śmierć. Nie przeszło im nawet przez myśl, że Chrystus uczynił z nich grupę przyszłych męczenników; zdecydowanie bardziej

odpowiadała im wizja uczestniczenia w Jego chwale w królestwie niebieskim. Wobec powyższych faktów nawet stwierdzenie Tomasza: „Chodźmy umrzeć razem z Nim [z Jezusem]” (por. J 11, 16), gdy uczniowie wyruszyli do grobu Łazarza, wydaje się zawierać więcej ironii niż autentycznej gotowości, aby podzielić los Mistrza.

Kiedy więc tamtej nocy, przebywając na jeziorze, dostrzegli zjawę, kogoś ze świata duchów, natychmiast stanęła im przed oczami wizja końca życia. Jeśli istotnie jest to duch, a oni znajdują się jedynie o krok od Szeolu – miejsca zamieszkanego przez duchy zmarłych – oznaczało to dla nich śmierć, w dodatku dość bolesną, bo w odmętach wzburzonego jeziora. Jeśli jednak nie jest to duch, lecz sam Jezus, Jego obecność oznaczała dla nich coś przeciwnego: życie. Błaganie Piotra było zatem podyktowane nie tyle chęcią przeżycia czegoś niezwyklego, ile pragnieniem udowodnienia, że Jezus jest mocniejszy od śmierci. Innymi słowy Piotr postanowił narazić się na śmierć (mógł utonąć w jeziorze), aby przekonać się, że Jezus ma moc wyratować go z opresji. Istotnie przekonał się, że odwołując się do mocy Bożej, może być kimś więcej niż tylko człowiekiem. Podobne doświadczenie, choć w tym przypadku inicjatywa należała już do samego Jezusa, uczniowie przeżyli po zmartwychwstaniu. Również wtedy, gdy Jezus stanął pośród nich w Wieczerniku pomimo zamkniętych drzwi, uczniowie nie wierzyli, że mają przed sobą prawdziwego człowieka. Myśleli, że to duch. W tym momencie zagrożone było nie ich życie, ale wiara.

Jeśli byłby to tylko duch, sprawdziłoby się to, co później wyraził św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian, pisząc: „Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, to na nic nasza wiara” (15, 17). W takiej sytuacji uczniowie musieliby zapomnieć o wszystkim, co przeżyli przez trzy lata posługiwania u boku Jezusa, i wrócić do domu. Jeśli jednak to nie byłby duch, ale żywy Nauczyciel, otrzymaliby znak potwierdzający sens wszystkiego, co w ostatnim czasie się dokonało. W tym momencie inicjatywę przejął sam Chrystus, chcąc im pokazać, że jest jednym z nich. Pozwalał im się dotykać, a w końcu zapytał: „Macie tu coś do jedzenia?” (Łk 24, 42), i jadł razem z nimi.

Podobnie tamtej nocy na jeziorze Piotr miał okazję przekonać się, że „to jest Pan”, poczuć, że w Jego obecności nic im nie grozi. Doświadczył też, że są pewne granice tego poczucia bezpieczeństwa. Jego dopiero co umocniona wiara ostatecznie okazała się mimo wszystko zbyt słaba, gdy na własnych nogach i o własnych siłach próbował utrzymać się na wodzie. Wobec szalejących żywiołów: silnego wiatru i wzburzonych fal, co do których człowiek zawsze pozostaje bezsilny i które zawsze budzą grozę, Piotr znów zaczął myśleć po ludzku i zachowywać się tak, jakby wszystko zależało od jego wątłych sił. Myśląc w tych kategoriach... zaczął tonąć. W tym dramatycznym dla niego momencie, logicznie rzecz biorąc, powinien zwątpić; może nie w moc Jezusa, ale w prawdę o tym, że Ten, którego widzi przed sobą, to faktycznie Nauczyciel, bo przecież

skończył się czas cudownej lekkości ducha. Mógłby nawet pomyśleć, że zaproszenie do wyjścia z łodzi było zwykłym kłamstwem, podobnym do tego z rajy: „Jeśli skosztujecie owocu, staniecie się jak bogowie” (por. Rdz 3, 5). Piotr jednak wiedział już, że tylko Jezus jest w stanie wyzwolić go z tej opresji; podpowiadała mu to wiara. To dzięki niej zdobył się na odwagę i podjął ryzyko. W geście rozpaczony poprosił o kolejny cud: „Panie! Ratuj mnie!” (Mt 14, 30). Po raz kolejny został też wysłuchany. Tym razem Jezus nie dokonał niczego niezwykłego (nie biorąc oczywiście pod uwagę faktu, że sam stał wciąż na wodzie): wyciągnął jedynie rękę i chwycił Piotra, po czym razem weszli do łodzi (można sądzić, że ociekającego z wody Piotra raczej wciągnięto tam wspólnymi siłami). Właśnie wtedy – łatwo możemy sobie to wyobrazić – dokonało się coś niezwykłego.

Do tej pory pozostali uczniowie pozostawali biernymi obserwatorami całej tej sceny. Co z tego zrozumieli – jeden Pan Bóg raczy wiedzieć. Jak wspominaliśmy, z opisu ewangelicznego dowiadujemy się, że wszyscy byli zmęczeni wiosłowaniem oraz przestraszeni widokiem postaci Jezusa; wszyscy też, co naturalne, choć chcieli wierzyć, w rzeczywistości wątpili. Kiedy jednak przemoczony Piotr znalazł się razem z nimi w łodzi, kiedy poczuli się pewniej u boku Jezusa, kiedy wiatr nagle się uciszył, wówczas w końcu otworzyły się im oczy. Wtedy też przyznali: „Ty naprawdę jesteś Synem Bożym”.

Choć sam Jezus nigdy wcześniej nie powiedział wprost, że jest Synem Najwyższego, wszyscy dokoła snuli domysły

co do Jego osoby. Podobnie zresztą myśleli także o Janie Chrzcicielu, a nawet o paru innych głosicielach czasów mesjańskich, którzy ostatecznie okazali się zwykłymi awanturnikami. Być może przyczyniła się do tego sytuacja polityczna, zadziwiająca jest jednak, jak żarliwie ówcześni Izraelici oczekiwali na przyjście Mesjasza i jak bardzo mylili się w ocenie tego, kim on ma być, jakie będzie miał zadanie do spełnienia. Przecież gdyby rzeczywiście miał wyzwolić naród spod niewoli Rzymian, to czy różniłby się od Mojżesza i innych proroków, którzy wprawdzie podarowali swym braciom promyk wolności, ale z perspektywy czasu trudno mówić o tych wydarzeniach jako o mających znaczenie uniwersalne. Pomimo tej pozornej otwartości na obiecanego Mesjasza, w czasie kiedy pojawił się prawdziwy Syn Boga, w sercach ludzi – mających za sobą wiele bolesnych pomyłek i tyleż zawiedzionych nadziei – obok nadziei, pojawiały się też wątpliwości. Nie wiadomo, które z tych uczuć było mocniejsze. Kiedy więc kolejny „mesjasz” ginął skazany w najgorszym wypadku za rozbój, a w najlepszym za bluźnierstwo, szybko o nim zapominano. Zdania zaczynające się od słów: „Rzeczywiście...” albo: „Naprawdę jesteś Synem Bożym” wskazują, że ci, których Jezus wybrał na swych uczniów, borykali się z tymi samymi wątpliwościami co inni. Choć dostrzegli w Nim pewną niezwykłość, która skłoniła ich do podjęcia radykalnej decyzji o przemianie życia, wciąż jednak znajdowali się w połowie drogi i mieli przygotowany swoisty plan

ewakuacji, wyjście bezpieczeństwa, z którego mogliby skorzystać w przypadku, gdyby całe przedsięwzięcie okazało się pomyłką i skończyło niepowodzeniem. Tamtej nocy coś jednak przeważało na korzyść Mistrza. Tych kilka prostych i wydawać by się mogło, zupełnie zbytecznych cudów, rozwiało większość ich wątpliwości.

Dzięki takim cudom łatwiej jest nam zrozumieć, że nadzwyczajne interwencje Jezusa miały na celu nie tylko nasycenie głodnych czy uzdrowienie chorych, ale także, a może przede wszystkim umocnienie wiary, dokonanie wewnętrznego uzdrowienia oraz zaspokojenie głodu duszy, który – jak wiemy – jest głodem Bożego słowa.

Była noc. W Ewangelii św. Jana noc, w mroku której rozpływa się postać Judasza opuszczającego Wieczernik (por. J 13, 30), oznacza panowanie duchowych ciemności, sytuację bez Boga. Pozostali ewangeliści przekazują zresztą podobne interpretacje. Wystarczy wspomnieć zaćmienie słońca w godzinach konania Jezusa na krzyżu (por. Łk 23, 45). Noc – wiedzą to najlepiej ci, którzy nie mogą zasnąć – bywa męczącym czekaniem na pierwsze promienie słońca. Co ciekawe, choć obiektywnie w nocy rzeczywistość wokół pozostaje taka sama, to jednak nawet najmniejsze światło: płomień świecy, blask księżycy czy jedna jasna gwiazda, przemienia te realia. To dlatego często mówimy o „promyczku” albo „światełku nadziei”. Jezus stał się światłem nadziei podczas tej szczególnej nocy. Żadnemu z uczniów nie było dane przeżyć doświadczenia

z Betlejem – być może dlatego ewangeliści są tak oszczędni w opisie tego, co tam się wydarzyło. Noc na jeziorze stała się dla nich jednak tym samym, czym była noc nad stajenką dla pasterzy i tajemniczych mędrców: zarówno wówczas, jak i teraz spełniły się słowa proroka Izajasza:

Naród kroczący w ciemnościach
ujrzał światłość wielką;
nad mieszkańcami kraju mroków
światło zabłyśło.
[...] Albowiem Dziecię nam się narodziło,
Syn został nam dany,
na Jego barkach spoczęła władza.
Nazwano Go imieniem:
Przedziwny Doradca, Bóg Mocny,
Odwieczny Ojciec, Książę Pokoju (Iz 9, 1.5).

Jest to doświadczenie każdego człowieka wierzącego, nie tylko tego, kto po wielkim nawróceniu zdecydował się przemienić siebie oraz własny świat. Rodzi ono przekonanie, że warto zainwestować w to Imię. Biorąc pod uwagę fakt, że wszystko, co wydarzyło się na jeziorze, dokonało się tuż po otrzymaniu wiadomości o śmierci Jana Chrzciciela, jeszcze bardziej wymowne staje się ujawnienie mocy Jezusa, o którym Jan powiedział kiedyś: „Oto Baranek Boży” (J 1, 29). W tym momencie uczniowie uzyskali jednoznaczne potwierdzenie, że dobrze wybrali, decydując się postawić wszystko na jedną kartę, wystawić się

na pośmiewisko, a może nawet zaryzykować własne życie. Było to dla nich jakby zaproszeniem, aby dali z siebie jeszcze więcej, aby mocniej wierzyli i starali się lepiej poznać Mistrza. Błędem byłoby jednak myśleć, że tamtej nocy stali się dojrzałymi apostołami. Nie. Brakowało im jeszcze czegoś, co – choć było niezwykle istotne – byli w stanie zrozumieć dopiero po zmartwychwstaniu: nie mieli jasnej wizji Mesjasza. Z całej tej sytuacji można jednak wyciągnąć jeden istotny wniosek: wiara ma niewiele wspólnego z doskonałością. Można bardzo mocno i szczerze wierzyć, a jednocześnie wciąż pozostawać wielkim grzesznikiem.

→ Dygresja o tym, że warto znać Jezusa

Będąc na Filipinach, miałem kiedyś okazję przysłuchiwać się rozmowie jednego z lokalnych liderów Kościelnych Wspólnot Bazowych z kapitanem wioski (funkcja porównywalna do naszego sołtysa). Właściwie udaliśmy się do niego w zupełnie innym celu, była to raczej wizyta robocza, związana z realizacją jakiegoś projektu finansowanego przez lokalne władze. Zostałem zaproszony niejako przy okazji, w celach – nazwijmy to – turystycznych i towarzyskich. Barangay (co w lokalnym języku oznacza „wioska”) oddalone było od centrum o przeszło 2 godziny marszu, miejscami ostro pod górę, to znów stromo w dół. Po załatwieniu wszystkich formalnych spraw razem z sąsiadami i co ważniejszymi osobistościami siedzieliśmy, rozmawiając o wszyst-

kim, popijając paskudny filipiński gin, za butelkę którego płaci się równowartość 1 dolara i 10 centów, przegryzając go smażoną kozią skórą, oczywiście bez sierści (to lokalny specjał, doskonały na przekąską). Rozmowa toczyła się w lokalnym języku, więc jej sensu domyślałem się wyłącznie z wtrąconych raz po raz angielskich słów. Po pewnym czasie rozmówcy przeszli na angielski. Poruszyli sprawy wiary i chcieli, abym w pełni uczestniczył w rozmowie. Kapitan martwił się o jedną z rodzin mieszkających w samym centrum barangay, która była powodem niepokoju i zgorzenia dla wszystkich mieszkańców, ponieważ w domu niemal codziennie miały miejsce awantury. „Staram się – tłumaczył mi – przekonać ich, żeby dali się ochrzcić”. (Nawiasem mówiąc, w odległych i odciętych od świata wioskach tego regionu różne sekty zbierają obfite żniwo, ponieważ katolicy często w praktyce pozbawieni są wsparcia ze strony lokalnego Kościoła). „Gdyby ta rodzina – wyjaśniał dalej kapitan – poznała Jezusa, On by ich zjednoczył”. Szczerze mówiąc, byłem poruszony wiarą tego człowieka. W Europie takie rozwiązanie konfliktu nie przeszłoby nam nawet przez myśl. Przecież zaraz pojawiłoby się pytanie o autentyzm wiary oraz wiele innych niedorzecznych kwestii. W tej zapomnianej wiosce, której nawet nie ma na mapie, pewne sprawy są jednak prostsze: wiara nie jest dodatkiem do życia, jeśli się wierzy, to głęboko i szczerze. Istotnie, wtedy właśnie coś się

we mnie zmieniło: uwierzyłem, że jeśli dwoje ludzi wyznaje wspólną wiarę, to choć wcale nie oznacza to rozwiązania wszystkich ich problemów, to jednak gwarantuje przynajmniej jeden punkt, w którym stają się jednomyślni. Jezus przychodzi do wszystkich wierzących i wszystkich pozdrawia tymi samymi słowami: „Pokój wam”.

Wracając do tematu uciszenia burzy na jeziorze, ciekawe może się wydawać to, że ani uczniowie, ani sam Jezus nigdy nie odwoływali się do tego niezwykłego doświadczenia. Nauczyciel przynajmniej dwukrotnie wyrzucał apostołom, że nie zrozumieli ani nie zapamiętali cudu rozmnożenia chleba: gdy mówił im o kwasie faryzeuszy (por. Mt 16, 9–11) oraz kiedy wystawił ich na próbę, zanim po raz drugi nakarmił wielotysięczny tłum (por. Mk 8, 1–10). Po Przemienieniu polecił im zachować w tajemnicy wszystko, co widzieli, aż do momentu, gdy Syn Człowieczy zmartwychwstanie (por. Mk 9, 9). Apostołowie dopiero po wydarzeniach wielkanocnych przypomnieli sobie też o tym, że Jezus, mówiąc o zburzeniu świątyni i odbudowaniu jej na nowo w ciągu trzech dni, odnosił się do swego ciała (por. J 2, 22). Powodów, dla których żadna z Ewangelii nie powraca do tego, co stało się tamtej nocy na jeziorze, może być wiele, ale doszukiwanie się odpowiedzi na to pytanie zawsze będzie niczym więcej, jak czystą spekulacją. Najprostsze wydaje się odwołanie do słów św. Jana, który w zakończeniu swojej Ewangelii zaznacza, że w tekście tym zamieścił

tylko część informacji, gdyby zaś pokusić się o dokładne opisanie wszystkiego, co Jezus powiedział i czego dokonał, to „cały świat nie pomieściłby ksiąg” (J 21, 25). Można jednak przypuszczać, że doświadczenie to na zawsze zapisało się w sercach uczniów, ponieważ w momencie gdy ktokolwiek uwierzył, że Jezus jest obiecany Mesjaszem, tym samym przyjmował cały Stary Testament, który przecież w każdym swoim słowie przygotowywał ludzkość na Jego przyjście.

W rozważaniach o wierze apostołów nie może zabraknąć tematu, który tradycyjnie uznaje się za punkt przełomowy: wyznania Piotra w okolicach Cezarei Filipowej. To jedno zdanie, w którym pierwszy z apostołów wyjawia, co sam myśli o Jezusie i co sądzą o Nim inni, ujawnia się jako moment szczególny, choćby ze względu na specyficzną konstrukcję Ewangelii św. Marka, w której od tego właśnie momentu Chrystus zaczyna mówić otwarcie o tym, że zostanie zabity i że zmartwychwstanie. Stara się tym samym przygotować uczniów na przyszłe wydarzenia. Kiedy uważnie wczytamy się w tekst Ewangelii, ze zdziwieniem stwierdzimy, że efekt tych przygotowań był raczej odwrotny: Piotr, przemawiając w imieniu swoim oraz apostołów i wyznając wiarę w Jezusa jako Mesjasza, wydaje się nie zdawać sobie sprawy z tego, co powiedział. Prześledźmy te wydarzenia po kolei.

Pewnego dnia przebywali w okolicy pogańskiej, po drugiej stronie Jordanu, gdzie tetrarcha Filip zbudował miasto,

które na cześć cesarza Imperium Rzymskiego nazwał Cezareą. Filip był bratem Heroda, który odebrał mu żonę, Herodiadę. Kobieta, pragnąc zemsty na Janie Chrzcicielu, który potępił ten grzech, zażądała jego głowy. Filip, zresztą jak większość ówczesnych władców rządzących narodem izraelskim, choć był niezłym politykiem, to nie należał do ludzi głęboko wierzących. Prawdopodobnie niewiele różnił się od wielu osób współczesnych, którzy deklarują, że są chrześcijanami, ale w rzeczywistości życie religijne ograniczają do kilku przesądów, opierających się nie tyle na przekonaniu, ile na bojaźliwym podejrzeniu, że Bóg za złe karze. Podobnie było z Filipem. O jakości jego wiary najlepiej świadczy fakt, że on, Żyd, którego przodkowie i całkiem spora liczba dzieci, wnuków i prawnuków gotowi byli oddać życie za wiarę w jedyne Boga, zbudował świątynię Cezarowi i zezwolił na oddawanie mu czci jako bogu.

Rozpoczynając opowiadanie o tym, co wydarzyło się w tej okolicy, wszyscy ewangelieści zgodnie otwierają niejako nowy rozdział historii Jezusa. Nie ma tu bezpośredniego przejścia od tego, co wydarzyło się wcześniej, do dialogu, jaki miał miejsce w okolicach Cezarei (por. Mt 16, 13–20; Mk 8, 27–30; Łk 9, 18–20). Wiemy jednak, że kiedy się to dokonało, uczniowie mieli już za sobą konkretne doświadczenia związane z posłannictwem Jezusa i Jego posługiwaniem: widzieli już liczne uzdrowienia, jedli cudownie rozmnożony chleb, byli też świadkami przewrotności faryzeuszy, przed którymi ostrzegął ich

Nauczyciel, no i oczywiście przeżyli już wyżej opisaną nocną przygodę na jeziorze. Kiedy więc pewnego dnia byli w drodze, a może gdy odpoczywali – w każdym razie byli sami i z dala od towarzyszącego im tłumu postronnych słuchaczy – Jezus zadał im całkiem zwykłe pytanie: „Co ludzie mówią o Mnie?”. W odpowiedzi zwyczajnie zaczęli opowiadać o tym, co sami słyszeli. Zapewne zresztą wielu z tych, którzy przychodzili posłuchać Nauczyciela, pytało ich, co sądzą na temat swego Mistrza, albo dzieliło się swymi obserwacjami, a nawet obawami. Kto wie, może nawet oni sami, przyparci do muru pytaniem: „Dlaczego poszliście za Jezusem?”, niejednokrotnie wykręcali się od odpowiedzi, dając tym samym wyraz własnym wątpliwościom. Być może niejednokrotnie unikali odpowiedzi, bojąc się konfrontacji z wykształconymi i zaprawionymi w kazuistyce faryzeuszami i uczonymi w Piśmie – oni sami byli przecież prostymi ludźmi, niewykształconymi rybakami. Jedyne, co mogli im przeciwstawić, to swoją wiarę, nie do końca zresztą ugruntowaną. Najlepszym przykładem na to, jak bardzo w obliczu konfrontacji bali się stanąć za Mistrzem, jest postawa samego Piotra, który w pałacu arcykapłana wobec zarzutu zwykłej służącej zaklinał się i przysięgał, że „nie zna tego człowieka” (por. Mk 14, 70). Zatem pewnie nieraz zdarzyło się, że gdy ktoś postronny zadał im pytanie: „Kim według was jest Jezus”, udzielali raczej pokrętnych odpowiedzi. Z drugiej strony zapewne patrzyli na innych nieco z góry, zwłaszcza gdy Chrystus posyłał ich do ludzi, dając im władzę wypędzania złych

duchów. Przykład tej pewności siebie, która popychała ich ku pysze, pokazali Jakub i Jan, zwani Synami Gromu, ponieważ gotowi byli przekląć i spalić miejscowości, których mieszkańcy nie chcieli ugościć ich w drodze do Jerozolimy (por. Łk 9, 54). Gotowi byli użyć mocy, którą otrzymali od Jezusa, aby się zemścić za niegościnnność (ciekawe, czy w tym momencie bardziej bolało ich znieważenie Jezusa, czy raczej chodziło o ich zranioną dumę?). A może chcieli się przypodobać Mistrzowi, podobnie jak żołnierz, który w noc, kiedy przesłuchiowano Jezusa, uderzył Go w twarz, okazując fałszywe oburzenie: „W taki sposób odpowiadasz najwyższemu kapłanowi?” (J 18, 22). To całkiem zwykłe pytanie Jezusa: „Za kogo uważają Mnie ludzie?”, skłoniło ich do refleksji, ponieważ Nauczyciel, przynajmniej w tym momencie, nie pytał o ich własne przekonania. Zatem po kolei, bez skrupowania relacjonowali to, co usłyszeli od innych: „Jedni twierdzą, że jesteś powstałym z martwych Janem Chrzcicielem” (taką wersję przyjmował także król Herod, na którego spadała odpowiedzialność za zabicie Jana; por. Mt 14, 2). „Niektórzy uważają, że jesteś Eliaszem, inni, że Jeremiaszem albo innym z dawnych proroków” (por. Mt 16, 14). Z relacji tych wynika, że ludzie tak naprawdę nie wiedzieli, co sądzić o Jezusie, i w gruncie rzeczy spierali się o Jego tożsamość. Starając się wyciągnąć z tych opinii jakiś wspólny wniosek, możemy przyjąć, że uważali Go za posłanego przez Boga proroka. Z tym jednak wiążą się dwa interesujące fakty. Po pierwsze, nie traktowali Go jako nowego proroka, ale twierdzili,

że jest jednym z ludzi, którzy niegdyś odegrali znaczącą rolę w historii Izraela, kimś, kto w tajemniczy sposób został wskrzeszony i raz jeszcze pojawił się na ziemi. Miał On zatem być swoistą reinkarnacją proroka. Po drugie, nie uważali Go ani za Mesjasza, ani tym bardziej za Syna Bożego. Choć więc z jednej strony snuli domysły na Jego temat (podobnie zresztą zastanawiali się, kim jest Jan Chrzciciel), to w swych wnioskach pozostawali bardzo ostrożni. Żywili więc nadzieję na wyzwolenie, a w Jezusie dopatrywali się kolejnej interwencji Boga, ale zupełnie nie spodziewali się, że oto właśnie teraz wypełniły się wszystkie starotestamentowe obietnice i że jest to interwencja ostateczna, dzięki której objawiona zostanie pełnia Bożej miłości. Praktycznie oznaczało to, że Izraelczycy nie tylko nie rozumieli słów odnoszących się do zmartwychwstania, ponieważ dla dusz po śmierci przewidywali jedynie nieokreśloną bliżej egzystencję w Szeolu, ale też nie rozumieli wielu innych definicji, w tym samego pojęcia „mesjasz”. Dziwiąc się dziś niedowiarstwem czy ograniczonej inteligencji apostołów, często wykazujemy duże niezrozumienie ich sytuacji. Tymczasem najlepszym ich usprawiedliwieniem są słowa zdziwienia, jakie wypowiedział tłum, gdy Jezus uzdrawiał chorych od urodzenia, czyli takich, dla których z punktu widzenia ówczesnej wiedzy medycznej nie było ratunku. Mówili wtedy: „Jeszcze nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego!” (Mk 2, 12). Jakże więc mogli rozumieć, skoro nigdy czegoś podobnego nie doświadczyli? Zresztą, aż wstyd przyznać, ale także i dzisiaj wielu chrześcijan żyje

tak, jakby Chrystus nigdy nie zmartwychwstał... A może i ich trzeba zrozumieć?

Kiedy więc uczniowie, odpowiadając na pytanie Jezusa, zdali Mu relację z tej, można powiedzieć, raczej niewiary tłumów niż wiary, Nauczyciel nieco ich zaskoczył, ponieważ zapytał: „A wy? Co wy o Mnie myślicie?”. Cóż mogli powiedzieć? Wprawdzie już na jeziorze jeden przez drugiego przytakiwali: „Jesteś Synem Bożym” (Mt 14, 33), widać jednak, że Jezus chciał się przekonać, czy to samo powiedzą w sytuacji, gdy nie grozi im niebezpieczeństwo, gdy są spokojni, bez emocji. A może chciał sprawdzić, czy upływający czas nie osłabił ich przekonania, innymi słowy, czy są wytrwali w wierze? W imieniu wszystkich odpowiedział Piotr: „Ty jesteś Chrystusem, Synem Boga żywego” (Mt 16, 16).

Jezus nigdy nie ukrywał swych uczuć: gniewu, gdy rozpoczął awanturę w świątyni jerozolimskiej i wypędził z niej handlarzy (por. J 2, 13–16), żalu, gdy płakał przy grobie przyjaciela Łazarza (por. J 11, 35), nadziei, gdy z miłością patrzył na bogatego młodzieńca, oczekując, że zdecyduje się zostać Jego uczniem (por. Mk 10, 21), nawet wzruszenia, gdy wchodząc do miasta Nain, natknął się na kondukt pogrzebowy (por. Łk 7, 13). Podobnie było teraz. Gdy Piotr wypowiedział tak doniosłe wyznanie wiary, Jezus nie krył swego zaskoczenia. Właściwie ewangelisti przekazali nam zaledwie kilka podobnych świadectw wiary: Natanael w chwili spotkania Jezusa, nie wiadomo z jakiego powodu, po krótkiej wymianie zdań zadeklarował:

„Rabbi, Ty jesteś Synem Bożym! Ty jesteś królem Izraela!” (J 1, 49). Kiedy część z uczniów Jezusa po wykładzie na temat spożywania Jego Ciała zdecydowała się odejść, Piotr powiedział: „Panie, do kogo mielibyśmy pójść? Przecież Ty masz słowa życia wiecznego. A my uwierzyliśmy i przekonaliśmy się, że Ty jesteś Świętym Boga” (J 6, 68–69). Słowa proste, lecz niezwykle głębokie, zwracają bowiem uwagę na doświadczenie wiary; uczniowie „przekonali się”, jaka jest prawda. Zdania te z powodzeniem mogłyby konkurować z wypowiedziami, na jakie zdobyli się apostołowie umocnieni w wierze po zesłaniu Ducha Świętego, kiedy to odważnie wystąpili wobec przywódców narodu, głosząc: „Rękami bezbożnych przybiliście Jezusa do krzyża, ale Bóg wskrzesił Go z martwych, a my wszyscy jesteśmy tego świadkami” (por. Dz 2, 23,32). Porównując odwagę i mądrość Piotra w tych szczególnych momentach z jego zwykłymi reakcjami, trudno zaprzeczyć słowom Chrystusa, który pozostając pod wrażeniem nie tyle mądrości apostoła, co łaski Ojca Niebieskiego, stwierdza: „Piotrze, błogosławiony jesteś, ponieważ mądrość, którą posiadasz, pochodzi z nieba” (por. Mt 16, 17). Następnie Jezus wypowiedział błogosławieństwo i obietnicę: „Na tobie zbuduję mój Kościół” (por. Mt 16, 18). Podobną dwa tysiące lat wcześniej otrzymał Abraham:

Uczynię z ciebie wielki naród, będę ci błogosławił i twoje imię rozśląwiał: staniesz się błogosławieństwem. Będę błogosławił tym, którzy tobie błogosławić będą [...]. Przez

ciebie będą otrzymywały błogosławieństwo ludy całej ziemi
(Rdz 12, 2–3).

Uniesienie Jezusa wcale nie wynika z Jego uznania dla mądrości Piotra, nie jest też radością z powodu – nazwijmy to – sukcesów edukacyjnych, jakoby uczniowie, skądinąd tak oporni, w końcu zrozumieli najistotniejszą sprawę związaną z Jego misją. Reakcja Chrystusa jest raczej modlitwą uwielbienia Ojca, który wybiera to, co słabe, aby zawstydzić wyniosłych, nauczyć pokory mądrych i mocnych, a wszystkich przekonać, że prawdziwe życie i mądrość dana jest tym, którzy otwierają się na łaskę, czyli i tym, którzy „z Boga się narodzili” (J 1, 13). Ten epizod pod Cezareą Filipową był dla Jezusa niezwykle ważnym znakiem, że ludzie, których wybrał i którzy z Nim chodzili, są w stanie otworzyć się na działanie Boga. Sami uczniowie zaś – gdyby istotnie zrozumieli, na czym zasadzała się radość Jezusa – powinni odebrać jasny sygnał, że w przyszłości o tyle będą mądrzy i mocni, o ile pozostaną otwarci na działanie łaski, o ile wyrzekając się własnych ambicji i pragnień, staną się nie bohaterami, ale sługami zbawczego dzieła.

Literacka konstrukcja opisu tego wydarzenia ukazuje trzy płaszczyzny wiary. Pierwsza odnosi się do ducha miejsca; jak wspomnieliśmy na początku, okolic Cezarei Filipowej, gdzie odbyła się ta rozmowa, nie cechowała atmosfera pobożności i wiary. Druga płaszczyzna odwołuje się do przekonania tłumów, które uznawały Jezusa

za proroka, o czym dowiadujemy się z relacji apostołów. Trzecia płaszczyzna to wiara samych uczniów.

Jeśli porównamy pozostałe dwie Ewangelie synoptyczne, to w wyznaniu Piotra dostrzeżemy pewien problem. O ile u Mateusza Piotr wyznaje, że ich Mistrz jest i Mesjaszem (Chrystusem), i Synem Bożym (Mt 16, 16), o tyle według św. Marka Piotr twierdzi wyłącznie: „Jesteś Chrystusem” (Mk 8, 29), a u Łukasza czytamy: „[Jesteś] Chrystusem Bożym” (Łk 9, 20). Różnica niby niewielka, ale gdy zastanowimy się, co uczniowie rozumieli pod pojęciem „mesjasz” lub „Chrystus”, może się okazać, że bardziej niż w Jezusa wierzyli w spełnienie własnych nadziei. Czego zatem oczekiwali?

Aby zrozumieć aspiracje ówczesnych Izraelitów, musimy nieco odbiec od tematu i cofnąć się do początków ich historii, do czasów Abrama. Choć patriarcha ten (jego imię po zawarciu przymierza Bóg zmienił na Abraham) najczęściej nazywany jest „ojcem wiary”, nie możemy zapominać, że jest on także, a może przede wszystkim, ojcem narodu, a więc korzeniem w drzewie genealogicznym społeczności ludu wybranego. On to, zgodnie z przekazem Pisma, gdy miał siedemdziesiąt pięć lat, usłyszał polecenie: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukażę” (Rdz 12, 1). Ci, którzy mu towarzyszyli, a więc nie tylko krewni, ale także cała rzesza sług – Abram był bowiem człowiekiem majątnym – stali się załóżkiem przyszłego Izraela. Upłynęło jednak wiele dramatycznych lat, zanim narodziło się i ukształtowało

autentyczne poczucie tożsamości narodowej, opartej nie tylko na fundamencie wspólnych przodków, ale także na wierze w jednego Boga oraz na przymierzu, jakie Stwórca zawarł z ludem, choć ten ostatni wielokrotnie sprzeniewierzał się umowie i zrywał układ. Prawdziwym narodem Izraelici stali się w momencie zawarcia przymierza pod górą Synaj, gdy pod wodzą Mojżesza wyszli z Egiptu; exodus stał się najważniejszym wydarzeniem w historii ludu i trwałym wspomnieniem opieki Boga, który uratował swój naród: niewolników uczynił ludźmi wolnymi. Zwięzły opis tych wydarzeń możemy znaleźć w modlitwie przepisanej przez Prawo na okazję złożenia ofiary z pierwocin płodów ziemi:

Ojciec mój, tułacz Aramejczyk, zstąpił do Egiptu, przybył tam w niewielkiej liczbie ludzi i tam się rozrósł w naród ogromny, silny i liczny. Egipcjanie źle się z nami obchodzili, gnębili nas i nałożyli na nas ciężkie roboty przymusowe. Wtedy wołaliśmy do Pana, Boga ojców naszych. Pan usłyszał nasze wołanie, wejrzał na naszą nędzę, nasz trud i nasze ucieszenie. Wyprowadził nas Pan z Egiptu mocną ręką i wyciągniętym ramieniem wśród wielkiej grozy, znaków i cudów. Zaprowadził nas na to miejsce i dał nam ten kraj opływający w mleko i miód. Teraz oto przyniosłem pierwociny płodów ziemi, którą dałeś mi, Panie (Pwt 26, 5–10).

„Tułacz Aramejczyk” to nikt inny jak Abraham. W modlitwie nie wspomina się Mojżesza, który stał na czele

grupy opuszczającej w pośpiechu Egipt, ponieważ to nie on był wyzwolicielem, lecz sam Bóg wyprowadził Izraelitów i podarował im wolność. Cała dalsza historia narodu to pełen wzlotów i upadków wysiłków; to cały ciąg zrad i nawróceń, a pośród tego wszystkiego wielkie pragnienie wolności, rozumianej jako dar Boży. To nie do końca jasne pomieszanie rzeczywistości duchowych z interesem politycznym, który w naszych czasach ładnie nazwalibyśmy „racją stanu”, zrodziło szereg negatywnych skutków ubocznych; one też wpłynęły na nieporozumienia co do misji Jezusa.

Jeśli spojrzymy na historię Europy w XX wieku i zdamy sobie sprawę, jak wiele zła wyrządziły różnego typu nacjonalizmy, wprowadzane niejednokrotnie pod szlachetnym szyldem patriotyzmu, zrozumiemy jedną z przyczyn niezrozumienia posłannictwa Jezusa przez ówczesnych ludzi. Izrael w istocie był narodem małym i słabym politycznie. Wielokrotne i bolesne w skutkach doświadczenie uciemiężenia ze strony silniejszych państw sprawiło, że pragnąc wolności, z czasem jej rozumienie zawęził wyłącznie do kategorii politycznych. Pragnienie wolności stało się tożsame ze stworzeniem potęgi, jednak nie tej duchowej, która – jak mogło się wydawać w sytuacji tego konkretnego społeczeństwa istniejącego z woli Boga – była rzeczywistym fundamentem tożsamości narodowej. Niestety, już w tamtych czasach polityka brała górę nad prawdziwymi wartościami, spychając na dalszy plan wszystkie inne płaszczyzny narodowej egzystencji oraz

przekształcając je w wartości drugiej kategorii. Wszystko to sprawiło, że kiedy w końcu „czas się wypełnił”, niewiele było przykładów tak wspaniałego powitania Mesjasza i radości duchowej, jaką wyraził starzec Symeon, który w Dzieciątku ofiarowanym w świątyni dostrzegł nadzieję narodu. Wypowiedział on wtedy wspaniałe słowa dziękczynienia:

Teraz, o Władco, pozwalasz odejść słudze Twemu w pokoju, według Twojego słowa. Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie, które przygotowałeś dla wszystkich narodów: światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego (Łk 2, 29–32).

W większości przypadków, nawet jeśli ludzie uznawali, że Jezus jest kimś niezwykłym, ich wyobrażenia kierowała się wyłącznie w jednym kierunku: natychmiast odżywały marzenia o wielkim państwie. Były to jednak – co należy raz jeszcze podkreślić – marzenia niezwykle dalekie od duchowego ideału, bo mocne państwo to takie, które byłoby w stanie odpłacić pięknym za nadobne wszystkim ciemiężycielom, a tych nie brakowało w historii Izraela. Kim wobec tego był mesjasz dla ówczesnych Żydów? Utalentowanym politykiem, który potrafiłby stanąć na czele narodu i umocnić pozycję państwa w regionie, a w konsekwencji zapewnić dobrobyt jego obywatelom. W jaki sposób i jakim kosztem? Nieistotne, byle Izrael stał się obiecaną ziemią „mlekiem i miodem płynącą” (Wj 3, 8).

Błędne oczekiwania wobec mesjasza i podobne wątpliwości związane z jego osobą miał już sam Herod, który bojąc się utraty władzy, nakazał zabić wszystkich chłopców w Betlejem, starając się tym samym wyeliminować potencjalne zagrożenie detronizacji (por. Mt 2, 1–18). Można przypuszczać, że obawiał się on powtórzenia historii starożytnego króla Saula, który stracił tron na rzecz namaszczonego z ludu młodego Dawida (por. 1 Sm 16, 1–13). W kwestii oczekiwań wobec mesjasza zaskakuje i to, że podobnie myśleli także ci, którzy byli znacznie bliżej Jezusa niż Herod. Na przykład, kiedy ludzie po rozmnożeniu chleba spostrzegli, jakiego cudu dokonał Jezus, zaczęli rozprawiać między sobą na temat osoby mesjasza i szybko doszli do wniosku, że to właśnie ten Nauczyciel jest prorokiem, którego zapowiadają Pisma. Postanowili więc Go odnaleźć i ogłosić królem, co w praktyce, wobec urzędującej rodziny Heroda, Sanhedrynu oraz okupantów rzymskich, oznaczałoby wszczęcie poważnych społecznych zamieszek. Trudno nie mieć wrażenia, że tłumy nie oczekiwały od Jezusa niczego innego, jak tylko – mówiąc współczesnym językiem – cudu ekonomicznego. „Gdy więc Jezus poznał, że mieli przyjąć i porwać Go, aby Go obwołać królem, sam usunął się znów na górę” (J 6, 15). Na tym jednak nie koniec, bo nawet najbliżsi przyjaciele Jezusa nie różnili się od wszystkich innych. Dobrym przykładem są dwaj z uczniów (z imienia znamy tylko Kleofasa, nie wiemy, kim był ten drugi – a może „ta druga?”), którzy spotkali Zmartwychwstałego w drodze

do wsi Emaus (por. Łk 24, 1–32). Nie rozpoznali Go, ale spędziwszy z Nim sporo czasu, nabrali do Niego zaufania i szczegółowo opowiedzieli Mu o wszystkich swych pragnieniach, nadziejach i rozczarowaniach, bo „spodziewali się, że to właśnie Jezus miał wyzwolić Izraela” (Łk 24, 21). Choć nie mamy opisu reakcji innych uczniów na wydarzenia związane ze straceniem Jezusa, możemy się jednak domyślać, że w tamtych dniach wielu z nich uczyniło podobnie: osądziwszy, że wszystko skończone (zaprzepaszczone?), wybrało się w drogę powrotną do swych miast i wiosek, do dawnego życia, w sercu zachowując jedynie miłe wspomnienia.

Powyższe przykłady pokazują pewną prawidłowość: z jednej strony fakt, że Jezus i uczniowie, choć używali tych samych słów, często rozumieli je w sposób zupełnie odmienny, a z drugiej pewną niekonsekwencję uczniów, która być może była spowodowana brakiem wytrwałości w wierze, a może po prostu wynikała z nieodpowiedzialności za używanie wzniosłych słów? Innymi słowy, może nie tylko na Górze Przemienienia, ale także w innych sytuacjach Piotr i inni najzwyczajniej w świecie „nie wiedzieli, co mówią”.

Wróćmy w tym miejscu do wyznania Piotra pod Cezareą Filipową. Nawet uznając niebywały postęp, jaki dokonał się w świadomości uczniów, warto jednak zadać dyskretne pytanie, w co konkretnie apostołowie wówczas wierzyli? Porównując trzy wspomniane wersje zdarzeń, przytoczone przez ewangelistów: Mateusza, Marka

i Łukasza, dostrzegamy problem: Kim według nich był Jezus? Czy – jak u Mateusza – Mesjaszem oraz Synem Bożym? Czy – jak u Marka – Mesjaszem? Czy w końcu – jak u Łukasza – Mesjaszem, wysłannikiem Boga, co praktycznie oznacza to samo co u drugiego ewangelisty?

Innymi słowy, chodzi o pytanie, co apostołowie na tym etapie wiedzieli już o Jezusie? A może tylko odkryli część prawdy o Jego misji?

Sięgając do opisu Janowego i wsłuchując się w pytanie uczniów: „Panie, nie wiemy, dokąd idziesz?” (J 14, 5) oraz ich prośbę: „Panie, pokaż nam Ojca” (J 14, 8), które zostały wypowiedziane podczas Ostatniej Wieczerzy, przekonujemy się, że uczniowie do końca nie rozumieli istoty posłannictwa Jezusa oraz relacji, jaka łączyła Go z Bogiem. Dopiero umocnieni przez Ducha Świętego nabrali odwagi, aby publicznie głosić Dobrą Nowinę (por. Dz 2, 14 n.), ale przede wszystkim dopiero wtedy zrozumieli pełnię Prawdy i pojęli, z kim mieli do czynienia przez ostatnie trzy lata.

W tym wszystkim nie chodzi jednak o to, aby pominąć lub zlekceważyć wszystkie głęboko poruszające doświadczenia uczniów, jakie miały miejsce przed owym słynnym dniem Pięćdziesiątnicy. Zarówno wyznanie na jeziorze, kiedy uczniowie przekonali się, że postać, którą widzą, to nie zjawa, ale żywy Jezus (a w szerszym rozumieniu, że Jezus to nie samozwańczy bohater, ale prawdziwy Mesjasz, który ratuje od śmierci), jak i pod Cezareą Filipową, kiedy po raz kolejny wyznali swoją wiarę, a także w wielu innych sytuacjach ukazują nam drogę wiary, jaką

mozolnie, ale konsekwentnie pokonywali. Musieli się Jezusa „nauczyć”, a to oznaczało, że musieli się „od-uczyć” starego sposobu myślenia. Potrzebowali na to czasu, ale każde doświadczenie tego typu było krokiem milowym na drodze wiary. Ta reguła pozostała niezmienna do dziś: każdy, kto chce stać się uczniem Chrystusa, potrzebuje czasu, aby nauczyć się żyć prawdziwie po chrześcijańsku, a jednocześnie od-uczyć się żyć według wartości, jakim dotychczas hołdował.

Widzimy zatem, że uczniowie, którzy z takim zapałem przytakiwali: „Jesteś Synem Bożym” albo: „Jesteś Mesjaszem”, mimo że byli inspirowani przez łaskę, wciąż mierzyli rzeczy własną miarą. Przytakiwali, gdy coś, co widzieli, pasowało do ich własnej wizji świata, choć z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że już w tym miejscu poczynili znaczne postępy. Jeśli zastanowimy się, na co głównie skierowany był edukacyjny wysiłek Jezusa, czego chciał nauczyć swych przyjaciół, to okazuje się, że poświęcił On sporo czasu i energii, aby przekonać ich do ponownego zdefiniowania niektórych pojęć, na przykład odnoszących się do osoby Mesjasza (por. Mt 22, 45), pierwszeństwa w grupie (por. Mt 23, 11–12), miłosierdzia wobec grzeszników (por. J 8, 7) i wielu innych. Oni zaś robili, co mogli. Można ich krytykować, że byli tak oporni, można się na nich złościć, a nawet patrzeć na nich nieco ironicznie, ale w żadnym wypadku nie można zlekceważyć wagi duchowego wzrostu, jaki dokonywał się dzień po dniu u boku Mistrza. Ich wiara nie była doskonała, ale

w każdej z tych sytuacji prawdopodobnie była najlepsza, na jaką było ich stać.

Obiektywnie rzecz biorąc, nie należy się oszukiwać, że na tym etapie stać ich było na wiele. Byli „pokornymi niewolnikami doktryny”, która choć teoretycznie otwarta na tę fundamentalną zmianę, nowość, dobrą nowinę, jaką miało być przyjście obiecanego Mesjasza, praktycznie w znacznej mierze stała na straży tradycji i utrwalonych „bezpiecznych” poglądów. W którymkolwiek miejscu otworzylibyśmy Ewangelię, zawsze przekonamy się, że wyobrażenia tamtych ludzi na temat Mesjasza miały się nijak do rzeczywistości. Dobrym przykładem na to są końcowe rozdziały Ewangelii według św. Mateusza. Widzimy tam, że wyżsi kapłani i inni duchowi liderzy Izraela odetchnęli z ulgą, gdy w końcu udało się zgładzić Jezusa. A kiedy strażnicy – zupełnie mimo woli – przyszli im oznajmić wieść o zmartwychwstaniu Nauczyciela z Nazaretu, szybko uknuli ostatnią intrygę, płacąc żołnierzom za milczenie lub za kłamstwo, byle tylko w końcu mieć święty spokój (por. Mt 28, 11–15). Czy jednak rzeczywiście osiągnęli stan świętego spokoju? Pewnie do momentu, kiedy pojawił się następny „mesjasz”, tym razem jednak już z pewnością fałszywy.

Niewiele lepiej rzecz miała się w przypadku samych uczniów. Jak przekazuje ewangelista Mateusz, na kilka dni przed ostatnim w życiu Jezusa świętem Paschy Nauczyciel uchylił im rąbka tajemnicy związanej z końcem czasów i Jego powtórnym przyjściem. Pretekstem do tego

wykładu, który stylem przypominał opowiadania apokaliptyczne, stała się znów narodowa duma apostołów, którzy zwrócili uwagę Mistrza na zabudowania świątynne. A ponoć rzeczywiście było się czym zachwycić. Budowla ta, symbol obecności Boga pośród swego ludu, była dla wszystkich Izraelitów miejscem szczególnym, jakby centrum świata. Już psalmista zwrócił uwagę na wyjątkowy charakter tego miejsca, strofując siebie i innych:

Jeśli zapomnę o tobie, Jeruzalem,
niech mi uschnie prawa ręka!
Niech przyschnie mi język do podniebienia,
gdybym o tobie nie pamiętał,
jeślibym nie uznał Jeruzalem
za moją największą radość! (Ps 137, 5–6).

Boże miasto Jeruzalem, a w nim świątynia, były widzialnym znakiem niewidzialnej mocy Boga oraz dowodem na to, że oni byli Jego narodem, Bóg zaś – na nieszczęście tak to często postrzegano – był ich „własnością”. W rzeczywistości jednak, jak się wydaje, sam Wszechmocny zdecydowanie wolał mieszkać w prostym namiocie.

Jezus, spoglądając na kamienie świątynne, na ów cud architektury, odwołał się do nieznannej uczniom przyszłości. „Zapewniam was: Nie pozostanie tu kamień na kamieniu. Wszystko legnie w gruzach!” (Mt 24, 2). Podobnie jak w Apokalipsie, wskazując na zniszczenie tego, co w ludzkim pojęciu wydaje się niewzruszone i monumentalne,

starał się jednocześnie skierować ich uwagę na rzeczywistość duchową, która choć niewidzialna (a przez to wątła i krucha), okazuje się czymś trwalszym i bardziej stabilnym od kamieni. W końcu to nie fakt, że Bóg Izraela zamieszkał w świątyni, nadał Mu znaczenia i świadczył o Jego potędze. Wręcz przeciwnie, świątynia nie byłaby niczym szczególnym, gdyby nie zamieszkał w niej Bóg. Myśl ta może nieco jaśniej została przedstawiona w Ewangelii Jana, a dokładnie podczas słynnego dialogu przy studni, kiedy Jezus tłumaczył Samarytance: „Wierz mi, kobieto. Oto nadchodzi czas, że ani na tej górze, ani też w Jerozolimie nie będzie się już wielbiło Ojca. [...] Nadchodzi jednak godzina, a właściwie już jest, kiedy prawdziwi czciciele będą wielbili Ojca w Duchu i w prawdzie. Zresztą takich czcicieli pragnie sam Ojciec” (J 4, 21.23). Wspomnienie o nadchodzącej zagładzie miasta było zatem całkiem konkretnym ostrzeżeniem, a jednocześnie wskazywało uczniom na konieczność zbudowania świątyni Ducha, bez mała duchowej twierdzy, której nie będą w stanie nadwerżyć ani pogłoski o wojnach, ani nieszczęścia, ani prześladowania, ani pokusy, grzechy czy zgorszenia. Zwłaszcza te ostatnie, jak dobrze wiemy, są w stanie skutecznie pozbawić ludzi wiary. Jak się jednak wydaje, największym niebezpieczeństwem, przed jakim przestrzegął Jezus, była niestałość wiary, która mogłaby popchnąć uczniów w ramiona innych proroków. Ich pojawienie się Chrystus uważa za rzecz naturalną. Z jednej strony pewnie dlatego, że On sam – Jezus wie o tym dobrze – zostanie

okrzyknięty fałszywym Mesjaszem. Wielu w to uwierzy, bo niektórzy zostaną, jak wspomnieliśmy wcześniej, przepiękni, inni zaś sami dojdą do wniosku, że Nauczyciel z Nazaretu, choć dokonał tak wielu cudów, w rzeczywistości jednak nie spełnił ich oczekiwań. Wielu zresztą dysponowało konkretnymi argumentami przeciwko Jezusowi. Ludzie z Nazaretu, miasta, w którym Jezus się wychował, mieli problem z zaakceptowaniem Jego pozornej „zwykłości”: „Czy nie jest On cieślą, synem Maryi, a bratem Jakuba, Jozesa, Judy i Szymona? A Jego siostry, czy nie mieszkają tutaj pośród nas?” (Mk 6, 3). Tłumy wysuwały tę samą wątpliwość: „Wiemy, skąd On pochodzi. Gdy natomiast przyjdzie Chrystus, nikt nie będzie wiedział, skąd pochodzi” (J 7, 27). Uczniowie oraz inni czuli się zawiedzeni niespełnieniem oczekiwań, jakie w Nim pokładali: „Mieliśmy nadzieję, że to On wyzwoli Izraela” (Łk 24, 21). Żydowska Wysoka Rada obawiała się zniszczenia porządku społecznego: „Człowiek ten dokonuje wielu znaków. Jeśli Go tak pozostawimy, wszyscy Mu uwierzą. Wtedy też wkroczą Rzymianie i zlikwidują zarówno naszą świątynię, jak i naród” (J 11, 47–48).

Jeśli zatem ktokolwiek – niezależnie od przyczyny – wątpił w prawdziwość misji Jezusa, tym samym w swym sercu pozostawiał miejsce dla innego mesjasza, którego wciąż oczekiwał. Przed tym właśnie Chrystus przestrzegał. Nie mówił wprawdzie, że ci, którzy popełnią błąd, nigdy z powrotem nie zostaną przyjęci (choć z tym problemem borykał się pierwotny Kościół), Jezus nie odmawiał

im prawa do nawrócenia. Chciał jedynie uchronić swych przyjaciół przed rozczarowaniem, a jednocześnie skłonić ich do wysiłku trwania przy Nim, Jezusie z Nazaretu, który nic nie czynił od siebie, ale głosił to, co usłyszał od Ojca.

W tym samym momencie Nauczyciel powiedział jednak o wiele więcej, mianowicie przestrzegł nie tylko przed fałszywymi prorokami, którzy „będą czynić wielkie znaki i cuda”, a tym samym „będą chcieli zwieść nawet wybranych” (por. Mt 24, 24), ale także przed łatwymi do zaakceptowania wizjami końca świata, które w obliczu nieszczęść pozwoliłyby uczniom zaprzestać wszelkiej działalności i pasywnie czekać na Bożą interwencję. Być może właśnie dlatego w tym fragmencie znajdujemy wy tłumaczenie przypowieści o czuwających sługach, oczekujących na przyjście swego Pana (por. Mt 24, 45–51). Ten, kto śpi, wprawdzie nie grzeszy, jak mówi przysłowie, ale też i nie kocha. Nieszczęścia, wojny, wszelkie cierpienia, jeśli spojrzymy na nie z perspektywy chrześcijańskiej, są dla uczniów Chrystusa wyzwaniem, aby zaangażować się w dzieło przywracania pokoju; to na chrześcijanach spoczywa obowiązek podjęcia trudu odbudowania społeczeństwa. Jak się więc wydaje, Jezus sprzeciwia się pasywności i bierności: „Jeśli wam powiedzą, że Syn Człowieczy jest na pustyni – nie wierzcie. Nie wierzcie pogłoskom, bo gdy On naprawdę przyjdzie, wtedy nie będziecie mieli co do tego żadnych wątpliwości” (por. Mt 24, 26–35).

Jezus zapowiedział to wszystko, ponieważ zdawał sobie sprawę z tego, jak łatwo osłabnąć w wierze, a nawet wy-

rzec się jej, jak łatwo zapomnieć o wszystkim, co jeszcze niedawno stanowiło wartość. Rzeczywiście w tamtym momencie wydawało się, że uczniowie nigdy nie zaufali Bogu i przez całe życie oszukiwali samych siebie.

Jeśli w tym miejscu postawimy sobie raz jeszcze pytanie o to, w co uczniowie wierzyli i co mieli na myśli, wypowiadając słowo „Mesjasz” lub „Chrystus”, w odpowiedzi uzyskamy jedynie parę mglistych opinii i niesprecyzowanych nadziei, którym daleko do tego, aby nabrały realnych kształtów. Czy tak musiało być? Czy Bóg, przemawiając przez proroków, naprawdę nie powiedział wystarczająco, aby właściwie odczytać wszystkie znaki? Z naszej perspektywy wszystko to wydaje się łatwe, nawet do tego stopnia, że dziwimy się brakowi wiary i podejrzliwości ludzi żyjących w czasach Jezusa. Ale czy tak samo zachowywalibyśmy się, gdybyśmy stanęli w tłumie ludzi słuchających nauczania Chrystusa?

Dziś wiemy, że Stary Testament zapowiadał przyście Mesjasza. Uczniom, którzy uciekali z Jerozolimy do Emaus, Jezus „wyłożył, co we wszystkich Pismach, począwszy od Mojżesza, odnosiło się do Niego” (Łk 24, 27). Wydaje się więc, że wystarczyło w odpowiednim kluczu odczytać święte teksty. Dlaczego więc nie rozumieli Pisma? Dlaczego błędnie je interpretowali? Sporą pomocą w zrozumieniu tego problemu może się okazać przykład zaczerpnięty z historii spotkania apostoła Filipa z nieznanym z imienia zarządcą skarbu królowej etiopskiej; opis ten znajduje się w *Dziejach Apostolskich* (8, 26–39),

dokładnie przed opowiadaniem o nawróceniu gorliwego prześladowcy Kościoła – Szawła. Scena rozegrała się w drodze z Jerozolimy do Gazy, gdzie za natchnieniem Ducha Świętego szedł Filip, przyłączając się do dworzana. Etiopczyk, według ówczesnej wizji świata człowiek zamieszkały na krańcach ziemi, wracał do swego kraju po odbyciu pielgrzymki do świątyni Pana, z czego wnioskujemy, że choć nie należał do narodu wybranego, oddawał cześć jednemu Bogu, był więc jednym z tych, których Izraelici określali jako „bojących się Pana”. W chwili gdy apostoł przyłączył się do niego, czytał z proroka Izajasza fragment tak zwanej Pieśni Sługi Pańskiego:

Prowadzą go jak owcę na zabicie,
a On jak baranek, gdy go strzygą,
milczy i nie otwiera ust swoich.
W jego poniżeniu wyjęty został spod prawa.
Któż może mówić o jego trwaniu,
skoro przerwano bieg Jego życia? (Iz 53, 7–8).

Tekst ten oczywiście odnosi się do cierpiącego Jezusa, któż jednak mógłby się tego domyślić sam z siebie, bez podpowiedzi? Istotnie, dworzanin borykał się z tym problemem. Filip, właściwie tylko po to, aby rozpocząć rozmowę, zapytał: „Czy rozumiesz, co czytasz?”. Dworzanin odpowiedział nieco zirytowany: „Jakże mogę rozumieć, skoro nikt mi tego nie wyjaśnił?”, a następnie zwrócił się do Filipa: „Powiedz mi, proszę, o kim pisze prorok? O sobie samym

czy też o kimś innym?”. To oczywiste, że opis ten mógł stanowić swoiste prorocstwo-medytację bolesnego doświadczenia każdego człowieka, a zatem mógł być opisem ogólnie rozumianych ludzkich losów. Filip, wychodząc od tego fragmentu Izajasza, opowiedział dworzaninowi dobrą nowinę o Chrystusie. Widzimy jednak, że „naturalny” sposób rozpoznania w Jezusie zapowiadzanego Zbawiciela polegał na odkryciu faktu, iż wszystkie zapowiedzi Pisma spełniają się właśnie w Nim i przez Jego ręce. Bez Niego stają się zaś wyłącznie abstrakcyjnymi refleksjami, w których przy odrobinie dobrej woli każdy będzie mógł znaleźć coś dla siebie. Zresztą sam Jezus wielokrotnie wskazywał na siebie jako na tego, w którym wypełniają się wszystkie obietnice, na przykład: na początku działalności w synagodze w Nazarecie, gdzie po odczytaniu fragmentu z Izajasza o Duchu Pana, który spoczął na Nim, powiedział do zebranych: „Dziś spełniło się pismo, które słyszeliście” (Łk 4, 21); dyskutując z faryzeuszami o tym, kim ma być Mesjasz, Syn Dawida, i argumentując, że nie może być wyłącznie jego synem, skoro sam Dawid, natchniony przez Ducha, w psalmie nazywa go swym Panem, gdy mówi: „Pan powiedział do mojego Pana: Usiądź po mojej prawej stronie” (Mt 22, 41–45); przede wszystkim jednak udzielając odpowiedzi uczniom Jana Chrzciciela, wysłanym do Niego z pytaniem, czy On właśnie jest „tym, który ma przyjść” – wówczas Jezus wskazał na cuda czasów mesjańskich: „niewidomi odzyskują wzrok, kulawi chodzą, trędowaci stają się czyści, głusi słyszą, umarli

zmartwychwstają, ubogim jest głoszona dobra nowina” (Łk 7, 22).

Ci zatem, którzy znali zapowiedzi Pisma i byli w stanie skojarzyć je z osobą Nauczyciela z Nazaretu, jak już powiedzieliśmy, w naturalny sposób mieli otwartą drogę do wiary. Kiedy jednak – realnie rzecz biorąc – coś takiego mogło nastąpić? Oczywiście nie można wykluczyć szczególnych sytuacji, w których wiedza i łaska wydawały wielkie owoce, jednak w większości przypadków rzecz miała się jak z dostojnikiem etiopskim: ktoś musiał mu wyjaśnić znaczenie wszystkich prorocत्व, ktoś musiał mu pomóc je zrozumieć, podpowiedzieć mu, w jakim kluczu powinien je interpretować. Wiara, przynajmniej u jej zarania, jest zatem swoistym darem ofiarowanym człowiekowi przez Boga, który jednak często jako pośrednika tego daru wybiera innego człowieka. W tym miejscu można dopatrzeć się niepodważalnego znaczenia tradycji wiary, ponieważ to, czego sam Chrystus nauczył apostołów, oni przekazali swoim następcom, ci zaś tym, którzy przyszli po nich, a ci znów następnym i tak jest do dziś i będzie zawsze. Także my sami, wierząc, mogliśmy się oprzeć na wierze rodziców i dziadków; naszym zaś dzieciom będzie łatwiej wierzyć, kiedy nauczymy je, że do Boga należy zwracać się, mówiąc: „Ojcze”.

Na koniec wróćmy jeszcze do wiary uczniów. Aby zrozumieć, kim miał być Mesjasz, musieli nauczyć się patrzeć na wszystko z innej perspektywy. Miała im w tym pomóc

prozaiczna sytuacja. Gdy przebywali kiedyś w świątyni jerozolimskiej, Jezus usiadł naprzeciw skarbony i przyglądał się, jak ludzie wrzucali do niej swe ofiary (por. Mk 12, 41–44; Łk 21, 1–4). Musiało to trwać sporą chwilę, ponieważ – jak wspominają ewangelisti – w tym czasie przewinęło się wiele osób. Jedni wrzucali niewielkie kwoty, inni całkiem sporo, zależnie od sytuacji majątkowej. Wydawało się, że Nauczyciel przypatruje się im obojętnie, zresztą do wszystkiego, co wiązało się z pieniędzmi, podchodził raczej niechętnie, rzadko zabierał też głos na ten temat. Pieniądzy wprawdzie używał, ale wcale się nimi nie zachwycał. Siedząc przed skarboną, przywołał swych uczniów i wskazał im ubogą wdowę, która wrzuciła dwa małe pieniążki: leptony, najmniejszy nominał, jakiego wówczas używano w Palestynie, monety praktycznie bezwartościowe. „Spójrzcie, ta biedna wdowa wrzuciła najwięcej ze wszystkich” (por. Mk 12, 43). Kiedy Jezus patrzył na jakąś osobę, widział całe jej życie: to, kim jest, jakie są jej pragnienia, co kryje się w jej duszy. Przekonało się o tym wielu ludzi, którzy po raz pierwszy spotykali się z Mistrzem. Doświadczył tego także Natanael, któremu Jezus powiedział: „Ujrzałem cię stojącego pod drzewem figowym, zanim cię zawołał Filip” (J 1, 48). Prawdę o tym, że Pan wiedział wszystko, najlepiej wyraził Jan, pisząc, że Jezus „nie potrzebował, aby ktoś dawał świadectwo o człowieku, ponieważ sam wiedział, co się w nim kryje” (J 2, 25). Siedząc więc naprzeciwko skarbony, wiedział, kim są ludzie, którzy tamtędy przechodzili, dlatego mógł zwrócić

uwagę nie na brzęk monety, ale na duchową wartość datku, tak trudną do oceny zwłaszcza dla kogoś, kto podliczał dzienny zysk. Uczniowie zapewne zdziwili się, dlaczego wdowa, której widok wzbudzał raczej w nich litość, zasługuje na szczególny szacunek i ma się stać dla nich przykładem. Pan pośpieszył z wyjaśnieniem: „Wszyscy wrzucali z tego, co im zbywało, a ona ze swego ubóstwa wrzuciła wszystko, co miała na swoje utrzymanie” (Mk 12, 44). Okazuje się, że słowo „wiele” dla Boga oznacza coś innego niż dla ludzi. Człowiek patrzy na to, co zewnętrzne, Bóg zaś spogląda do wnętrza duszy. Aby właściwie ocenić rzeczy, ludzi i ich postępowanie, trzeba spojrzeć na wszystko tak, jak czyni to Bóg. Biorąc zatem tę sytuację za pewien wzór, widzimy, że aby właściwie zrozumieć, kim miał być obiecany od wieków Mesjasz, należy pomyśleć nie tylko o pragnieniach i interesach tego jednego pokolenia, które czekało na moment zrzucenia jarzma politycznej niewoli, ale trzeba mieć na względzie wszystkich, dla których wolność stanowi wartość uniwersalną. Mesjasz miał wypowiedzieć ostatnie słowo, po którym nikt nie będzie już potrzebował żadnych dopowiedzeń ani wyjaśnień. Istotnie, tym ostatnim słowem, ogłaszającym pełnię wolności, było pozdrowienie Chrystusa zmartwychwstałego: „Pokój wam!” (por. Łk 24, 36), co oznaczało: „Jesteście wolni, bo nie panuje już nad wami grzech. Ja go zwyciężyłem i wam ogłaszam, że jesteście wolni: teraz i na zawsze”. Przez cały czas, kiedy Jezus był razem z uczniami, uczył ich myśleć po bożemu.

Przykład ubogiej wdowy pozwala też zrozumieć oczekiwania Boga względem człowieka. Ile Mu ofiarować? Odpowiedź brzmi: Wszystko. Nie tylko chwilę modlitwy rano i wieczorem oraz parę dobrych uczynków w ciągu dnia. Stając się Jego uczniem, trzeba na zawsze zapamiętać o sobie i o tym, do czego – jak zwykliśmy mówić – mamy prawo. Bóg oczekuje wszystkiego. Wprawdzie w zamian daje skarb innego rodzaju, ale trudno go docenić, jeśli nie zmieni się sposobu myślenia. Jeśli myśli się po ludzku, może się wydawać, że Bóg niczego nam nie dał. Podążanie drogą naszego Pana jest czymś w rodzaju duchowej przygody. Na szczęście wciąż wielu jest takich, którzy – podobnie jak apostołowie – nie obawiają się podjęcia tego ryzyka.

Spis treści

| | |
|--|-----|
| Wstęp | 5 |
| KATECHEZA I | |
| Krocący po falach | 11 |
| KATECHEZA II | |
| Nowa relacja ze Stwórcą | 59 |
| KATECHEZA III | |
| Świadkowie nowych czasów | 99 |
| KATECHEZA IV | |
| On nas nazwał „przyjaciółmi” | 147 |
| KATECHEZA V | |
| Posłani do świata: pokorni służy misji | 181 |
| KATECHEZA VI | |
| On wie, że mówi do grzeszników | 233 |
| KATECHEZA VII | |
| Kochaj, a Bóg zatroszczy się o resztę | 283 |
| Zakończenie | 327 |